Nr. 1. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 1. stycznia 1928. | Rok 50.

ŁOWIEC

KALENDARZ ŁOWIECKI: W styczniu wolno polować na wszelką zwierzynę łowną, prócz jeleni i kuropatw.

NR. 1. WE LWOWIE, 1. STYCZNIA 1928. ROK 50.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

NA NOWY ROK.

Witamy go, myśliwi, jako początek nowej ery w łowiectwie polskiem.

Nowa ustawa łowiecka ogłoszona z końcem zeszłego roku, jednolita w całem państwie, anulująca ustawy b. państw zaborczych, wprowadza łowiectwo nasze na nowe drogi.

Ufać nam wolno, że ustawa ta, oparta na zasadzie, że łowiectwo jest częścią bogactwa krajowego, oparta też na zasadzie ochrony przyrody, wprowadzająca wysokie kary za kłusownictwo i wnykarstwo, potężną będzie podstawą polskiego łowiectwa.

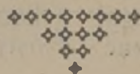
I z innego powodu my Małopolscy myśliwi Rok ten nowy z weselem witać będziemy. Dla naszego „Łowca“ jest to rok z ł o t y, pierwszego kwietnia r. 1878 pojawił się bowiem pierwszy numer czasopisma.

W rok jubileuszowy, w starej i cennej Czytelnikom naszym przedstawiamy go szacie, zdobnej bowiem dziełem z przed 40-tu laty nieśmiertelnego Juljusza Kossaka.

Jeszcze jedną miłą nowinę podajemy Czytelnikom: Z N o w y m R o k i e m w y d a j e m y g o j a k o d w u t y g o d n i k.

Ufamy, że zarządzenie to spotka się z uznaniem Członków naszych i że w tem przedsięwzięciu znajdziemy u Nich wzmożoną współpracę.

Z Nowym tym Rokiem przesyłamy Członkom, Czytelnikom i Przyjaciołom naszym serdeczne „SZCZĘŚĆ BOŻE“ !



„Łowiec“, a z nim całe łowiectwo Małopolskie składa hr. ZDZISŁAWOWI TARNOWSKIEMU wyrazy najszczerszego współczucia z powodu utraty wskutek pożaru starego rodzinnego gniazda i części nagromadzonych w niem bezcennych zbiorów historycznych i naukowych. Nieszczęście to odczuwa nietylko On sam, lecz zarazem całe kulturalne społeczeństwo polskie.

Wśród mroźnej i ciężkiej zimy pamiętajmy o zwierzynie, która cierpi głód i zimno! Wywozić obficie paszę, ścinać osiki, iwy, rozgartywać śnieg na linjach lub polankach, wyścielać rozgarnięte miejsca słomą lub gałęziami drzew iglastych na legowiska dla sarn.

Nową ustawę łowiecką podajemy w streszczeniu, gdyż wydrukowanie jej w całej rozciągłości zajęłoby miejsce w kilku numerach naszego pisma. To nie miałoby praktycznego celu, bo zanimby druk ustawy ukończonym został, pojawi się ona w broszurowanych książeczkach, w które każdy z członków i czytelników zaopatrzyć się potrafi.

Kilka słów o nowem Polskiem Prawie Łowieckiem.

W numerze 110 Dziennika Ustaw Rzpltej z 14/12. br. ogłoszonem zostało pod pozycją 934, rozporządzenie Pana Prezydenta Rzpltej z 3/12. br. „o prawie łowieckiem“. Rozporządzenie to weszło w życie z dniem jego ogłoszenia i zostało niewątpliwie przez całe łowiectwo polskie powitane z żywem zadowoleniem, jako ujednostajnienie prawa łowieckiego na obszarach naszej Ojczyzny.

Umożliwiając uczynienie zadość wszystkim niemal postulatom racjonalnej gospodarki łowieckiej w Państwie, rozporządzenie Pana Prezydenta nie odbiega w swych zasadach zbytnio od zasad dotychczasowej małopolskiej ustawy łowieckiej, w szczegółach zaś, pozostawia odnośnym Ministerstwom, głównie Ministerstwu Rolnictwa, szerokie pole działania w drodze rozporządzeń wykonawczych, które, należy się spodziewać, uwypuklą wszystkie dodatnie jego strony. Podnieść też należy dużą przejżystość omawianego rozporządzenia.

Postanowienia wstępne tego rozporządzenia, wymieniają zwierzęta i ptaki uznane za „zwierzynę“, oraz określają rozumienie prawne wyrazu „polowanie“. — Rozdział pierwszy, normuje kwestję własności prawa polowania i postanawia, że prawo to związane jest z własnością gruntu, rozdział drugi traktuje o użytkowaniu polowania a w szczególności o tworzeniu obwodów łowieckich i ich rejestrowaniu, o spółkach łowieckich i straży łowieckiej. Zawarty w tym rozdziale art. 6. postanawia między innemi, że właściciel polowania może użytkować je samodzielnie, jeżeli obszar gruntu, na którym ma polowanie, jest nie mniejszy od stu hektarów ciągłej powierzchni, jakoteż że obszar taki, po zarejestrowaniu go przez właściwego starostę, stanowi obwód łowiecki własny. — Art. 14. w tym rozdziale, między innemi przewiduje wydanie, w drodze rozporządzenia Pana Ministra Rolnictwa, statutu wzorowego dla spółek łowieckich, które wedle art. 20., użytkować mają prawa polowania tylko przez wypuszczanie tego prawa w dzierżawę.

Rozporządzenie Pana Prezydenta nie określa bliżej sposobu tego wypuszczania w dzierżawę, należy jednak mieć nadzieję, że odnośne rozporządzenia ministerjalne, sprawę tę unormują w sposób zgodny z interesami kultury krajowej.

Rozdział trzeci zawiera ujęte trafniej niż w dawnej ustawie małopolskiej, postanowienia o ochronie łowiectwa, a w szczególności o kartach łowieckich, ochronie polowania, o niedozwolonych sposobach łowienia zwierzyny, oraz o czasie ochronnym.

Czas ochronny, normuje ten rozdział w następujący sposób:

Zabrania się polować na żubry, bobry, kozice, świstaki, na samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, na sarny-kozy i koźlęta, na niedźwiedzice od niedźwiedziątek, na głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz na cietrzewie-kury.

Za cielęta: łosia, jelenia, daniela i koźlęta sarny uważa się młode zwierzęta tych gatunków w czasie do końca lutego następnego roku po ich urodzeniu.

Zabrania się polować w czasie niżej oznaczonym (czas ochronny), na zwierzęta następujące:

łosie-byki w czasie od 15. grudnia do 31. sierpnia;
jelenie-byki, daniele-rogacze w czasie od 1. listopada do 31. sierpnia;
sarny-kozły w czasie od 1. lutego do 20. kwietnia;
zające-szaraki w czasie od 1. lutego do 30. września;
zające-bielaki w czasie od 15. lutego do 31. października;
borsuki w czasie od 1. grudnia do 31. sierpnia;
wiewiórki w czasie od 1. marca do 31. października;
głuszce-koguty w czasie od 15. maja do 15. marca;
cietrzewie-koguty w czasie od 1. czerwca do 15. sierpnia;
jarząbki w czasie od 1. lutego do 15. sierpnia;
pardwy w czasie od 1. lutego do 15. sierpnia;
bażanty-koguty w czasie od 1. lutego do 31. sierpnia;
kuropatwy w czasie od 1. grudnia do 31. sierpnia;
przepiórki w czasie od przylotu do 31. sierpnia;
słonki w czasie od 15. maja do 15. sierpnia;
bataljony w czasie od 1. czerwca do 10. lipca;
dzikie kaczory w czasie od 1. czerwca do 10. lipca;
dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo błotne i wodne w czasie od 1. marca do 10. lipca.
dzikie łabędzie i dzikie gęsi w czasie od 15. maja do 31. lipca,
dropie, dropie-kamionki (strepyty), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty w czasie od 1. lutego do 15. sierpnia;
ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi-gołębiarzy, krogulców, wron i srok w czasie od 1. lutego do 15. sierpnia.

Przez cały rok wolno polować na: wilki, wydry, kuny domowe (kamionki), tchórze, gronostaje, łasice, króliki, jastrzębie-gołębiarze, krogulce, sroki i wrony oraz podbierać jaja, wybierać pisklęta i niszczyć gniazda wymienionych ptaków.

Zwierzęta wymienione w ustępie poprzednim może zabijać i chwytać każdy na własnym gruncie w obrębie swojej zagrody i w bezpośredniem jej sąsiedztwie aż do stu metrów odległości od zabudowań.

Rozdział czwarty traktuje o wynagradzaniu szkód łowieckich i ochronie od tych szkód, rozdział piąty o kompetencji władz w dziedzinie łowiectwa, rozdział szósty zaś, zawiera szczegółowe postanowienia karne,

które, przewidując dotkliwsze i racjonalniej zróżniczkowane kary za przekroczenia łowieckie niż to miało miejsce wedle dotychczasowej małopolskiej ustawy łowieckiej, usuwają jeden z jej poważnych braków i powinny niewątpliwie przyczynić się do podniesienia naszego łowiectwa.

W myśl postanowień końcowych omawianego rozporządzenia, obwody łowieckie utworzone na podstawie dotychczasowych przepisów, uważane będą za utworzone zgodnie z nowem rozporządzeniem, do dnia 1. marca 1928. r., lub, jeżeli zostały wypuszczone w dzierżawę — do chwili wygaśnięcia umów dzierżawnych. Ważnem jest również postanowienie (§ 46.) że w województwach lwowskiem i stanisławowskiem polowanie na jelenie dopuszczalne jest tylko w obwodach łowieckich o powierzchni co najmniej tysiąca hektarów.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

OTO KTO I CO WYSTAWIŁ:

I. POLE.

August Turnau z Dobczyc, gruby łeb dziczy i 6 par rożków sarnich.

Aleksander Reichard-Reichardsperg: tarczę z 9 parami rożków sarnich, wśród których środkowe odznaczały się niezwykle bujnem uperleniem. Pomiędzy tymi widniał potężny ósmak o trzech pniach, jeden z najładniejszych okazów w galicyjskim oddziale, odznaczony *Nagr. II.*

Karol Scherautz, 12 par kapitalnych rożków sarnich, z których szczególnie cztery nienormalne, przykuwają uwagę widza. Mianowicie pierwsza para, kształtu rogów kozich, druga o trzech pniach na niezwykle ukształtowanych możdżeniach, trzecia z gałęzią boczną nad prawą różą, wreszcie czwarta, nierówny ósmak, z pniem prawym skrzywionym, z którego zgięcia wyrastają cztery gałązki.

Stanisław hr. Dzieduszycki, pomieścił w tem polu część z ogólnej liczby jego żbików, wystawionych także w polach XXI—XXVI. włącznie.

II. POLE.

Stanisław Bromilski, łabędzia gędźca (C. musicus), ubitego w 1910 r., na stawie czerlańskim, niedaleko Lwowa.

III. POLE.

Adolf bar. Brunicki, 20 tablic z 22 parami kłów dziczych, 16 par rożków sarnich, 2 pary rożków sarnich syberyjskich, oraz akwarelę Wojciecha Kossaka, przedstawiającą arcyksięcia Rudolfa na jego pierwszem polowaniu na lisy w Lubieniu, dnia 12. września 1886.

Z wyjątkiem dwóch par słabych syberyjskich rożków, wszystkie powyższe trofea pochodzą z okolic podlwowskich.

Władysław Długosz, łeb jelenia dwunastaka, 2 tokujące głuszce, łeb odyńca, 2 niedźwiedzie, ustawione u wejścia do Galerji.

Wystawca zdobył te pierwszorzędne trofea w Wełdzirzu; niedźwiedzie w marcu 1909, w dwu po sobie następujących dniach

Antoni hr. Wodzicki, piękny okaz ładnie wypchanego rysia.

Paweł ks. Sapieha, trzy szczęki dzicze w niezwykle oryginalnej oprawie.

IV. POLE.

Spadkobiercy Andrzeja hr. Potockiego:

Krzeszowice, sławne z bogatego zbioru trofeów, wystawiły stosunkowo za mało, bo tylko olbrzymiego niedźwiedzia, głowę rogacza, 12 wieńców jeleni karpackich i 25 par rożków sarnich na 22 tarczach.

Niedźwiedź — znany w szerokich kołach myśliwskich, zaliczał się do największych (wysokość w poz. stojącej 2·30 m) — z ubitych w ostatniem 20-leciu w Europie; otrzymał więc słusznie *Rs.* i *Mz.*

Rs = rekord światowy, *Mz* = medal złoty.

Wieńce dają należyte pojęcie o wspaniałości jeleni karpackich. Wśród nich wyróżniały się szczególnie dwa nieregularne szesnastaki, umieszczone w środku grupy, wysokością pni i rozwojem gałęzi środkowych. Jeden z nich zdobyty przez A. hr. Sierakowskiego, drugi zaś przez A. hr. Zamoyskiego. Odznaczono je *Nagr. II.*

Rożki sarnie z tego zbioru wzbudzają uczucie zazdrości u myśliwych. Ogólne zainteresowanie wzniecał też wystawiony w tej grupie perukarz, lecz ustępuje on pierwszeństwa co do anormalności peruki innego rogacza z tej samej grupy.

Myśliwego-hodowcę zaciekawiała też tablica z 4 parami wspaniałych rożków, z racji, iż zdobyto je wszystkie na jednym podjeździe.

Trzy pary rożków z r. 1875, 1901 i 1904 odznaczono *Nagr. III.*

IV., V. i VI. POLE.

Zdzisław hr. Tarnowski, wystawił w tych trzech polach liczny zbiór trofeów, a mianowicie: łeb jelenia, 14 poroży jelenich, głowę rogacza, 29 tablic z rożkami sarnców (rogaczy), 28 par takichże rożków pojedyńczo oprawnych, 24 par szabli dziczych, wypchanego niedźwiedzia, łeb wilka, 3 tablice z wachlarzami głuszców, tablicę z cietrzewiami, obraz olejny, akwarelę J. Kossaka i 4 fotografie treści łowieckiej.

W polu V. umieszczony łeb jelenia i najwyżej wiszące dwa wieńce, pochodzą z niżu sarmackiego, mianowicie z rewirów Końskie w Królestwie Polskiem i są przedstawicielami tamtejszego typu jeleni. Innych 5 wieńców z tego pola są karpackiego pochodzenia. Z nich 18-tak z 1906 r. i 12-tak z 1908 r. otrzymały *Nagr. II.*

W środku wiszący wieniec pochodził z jelenia, którego zarżnęły wilki. Jeden z tych wilków został ubity, a czaszkę jego umieszczono razem z wieńcem jelenia jego łupu.

Pole VI. z wieńcami jeleni nizinnych, z Mokszyszowa, które przekonują, że nie ustępują one w okazałości i budowie karpackim.

Akwarela Kossaka w polu IV., przedstawia podjazd na rogacze *linijką,* a 29 tablic z rożkami, zdobycze kilku podjazdów; przyczem się zauważa, że czerwone tablice w polu IV. mieściły trofea z rewiru Rudnika, tablice zaś w polu V. i VI. z rewirów Dzikowa i Mokszyszowa.

Największy podziw budziła tarcza w polu VI., z 50 parami rożków. Przedstawiała zdobycz podjazdu porannego i wieczornego w 6 strzelb z dnia 13. sierpnia 1904. Fotografia umieszczona koło tej tarczy, odzwierciadlała obraz tego królewskiego pokotu. Tablice powyższe zainteresować muszą fachowca z tego względu, że nie mieszczą w sobie trofeów wyszukiwanych, lecz zdobytych w tych podjazdach; dają więc obraz nietylko bogactwa danych kniej, ale i znakomitej hodowli.

Okazy pojedyńcze świadczyły znów, jak silne rożki osadzają sarnce w wspomnianych rewirach. Wśród nich są także godne uwagi rożki formy kozich rogów.

Wystawione szable odyńca są ozdobą tego bogatego zbioru, a zaciekawią tem więcej myśliwego, gdy nadmienimy, że dziki te nie padły przed nagonką, lecz na polowaniach z psami *par force,* uprawianych z szczególnem zamiłowaniem przez wystawcę. Obraz pędzla Kossaka, przedstawia właśnie scenę z tych rycerskich łowów.

Fotografje dołączone do tarcz z głuszcami i cietrzewiami, ilustrowały wynik łowów jednego poranka.

VII. POLE.

Ks. Jerzy Lubomirski, wystawił piękną bardzo grupę, zawierającą 36 par rożków sarnców, 4 poroża jelenie, łeb dziczy, trzy głuszce i 6 par kłów dziczych, ilustrowaną trzema fotografjami.

Tu zauważyć trzeba, że wystawione wieńce pochodziły z jeleni zwierzyńcowych. Mimo więc, że od zwykłych były o wiele słabsze, to jednak jako takie, odznaczały się piękną formą, barwą i uperleniem.

Z pięknych i silnych szabel, wyróżniał się jeden kieł tem, że niegdyś złamany pośrodku, zrósł się, przez co nabrał oryginalnego kształtu.

Rożki sarnców były dość okazałe i niektóre z nich odznaczały się niezwykłem ukształtowaniem.

Jan Jędrzejowicz, wystawił w polu tem czarnego bociana.

C. d. n.



WITOŁD ZIEMBICKI.

Jeden z białych kruków Bibljoteki Hr. Tarnowskich w Dzikowie.

Bibljoteka dzikowska, której podobno trzy czwarte zdołano z morza płomieni uratować, zawierała, jak wiadomo, obok słynnych rękopisów wiele bezcennych druków. Na jeden taki druk, niewielki, z pozoru skromny, a będący istnym klejnotem śród zabytków literatury polskiej najpiękniejszego okresu XVI. wieku, pragnę tu zwrócić uwagę. Treść jego niema bezpośredniego związku z łowiectwem. Ale geneza jego ma związek z historją naszego łowiectwa, z historją łowiectwa naszych królów,— w szczególności z łowieckiem upodobaniem Batorego.

Król Stefan Batory przybył mianowicie w r. 1578., po trudach wojennych i politycznych, na wywczasy i łowy do miejscowości zwanej Zamech, leżącej w dawnem województwie ruskiem, powiecie biłgorajskim, na wschód od Tarnogrodu (niedaleko granicy dzisiejszej Małopolski). Wieś ta, zwana na niektórych nowych mapach niewłaściwie Zamch, lub Zamek, dostała się była jako starostwo za wojenne zasługi rodzinie Zamojskich. Dnia 8. maja wymienionego roku kanclerz Jan Zamoyski przyjmuje tu króla uroczyście. Ku upamiętnieniu zaś tej bytności Batorego w Zamchu, Jan Kochanowski napisał po łacinie poemat p. t. „Dryas Zamchana“, który następnie sam przełożył na polskie p. t. „Dryas Zamechska“.

Dryjady (od greckiego słowa oznaczającego dąb) były to boginki, strzegące lasów. Przedstawiano je jako kobiety silne i zdrowe. Na głowie miały koronę z liści dębowych, w ręku siekierę dla mszczenia krzywd, wyrządzanych drzewom, ich pieczy oddanym.

W poemacie Kochanowskiego nimfa leśna poznaje w przybyłym gościu króla-bohatera, wróży mu świetną przyszłość, zachęca do dalszej energji i nie szczędzi satyry na upadek ducha rycerskiego i moralności w narodzie. Dla wypoczynku po trudach zaleca pobyt w uroczym Zamchu.

„... Znam Cię, o zacny królu, chociaś bez korony,
Ani w różny od innych ubiór obleczony:
Znam Cię, o Królu Polski, choć tu między lasy
Z dzikim zwierzem przebywam po wszystkie swe czasy.

...po ustawicznych
Pracach odpoczyń sobie w tych tu lesiech ślicznych.

— — — — — — — — — — — —

Ale jeśli Cię raczey myśliwa myśl wiedzie,
Na dzikie wieprze iechać, albo na niedźwiedzie,
Lubo sarny po puszczy gonić wiatronogie
Wszystkiego tu Królu móy, naydziesz mnóstwo srogie.“

Tłumacząc się wreszcie, że jako mieszkanka lasów nie umie wymowniej uczcić króla, kończy:

„... ale w lesie nie uczą wymowy:
Prostemi tu swe rzeczy odprawuiem słowy.
Ani my w mieście, ani na seymiech bywamy,
Ani tam kraśnych onych mowców twych słuchamy.

W lesiech lata swe trawiem z Fauny rogatemi:
Co wy podobno, mężmi zowiecie dzikiemi.
Tam albo wieńce wijem, albo tańcujemy,
Trafi sye, że z Dyaną czasem poluiemy.
To są nasze zabawy, póki topór ostry
W modrzewiu nie namaca dusze którey siostry.“ [1])

Z poematem Dryas Zamchana łączy się drugi utwór Kochanowskiego: Pan [2]) Zamchanus. Był on wobec króla odspiewany tegoż dnia 8. maja 1578. w czasie uroczystości zamechskich. Tekst Kochanowskiego był wyłącznie łaciński. Tłumaczenie zawdzięczamy Syrokomli. [3])

Oto fragment:

„Jestem Pan, las mym domem, lubię żwawe harce
Biesiady z dziewicami, pieśni przy fujarce,
Tych zowią Satyrami, lud leśnych nałogów,
Natury nieco twardej i bodliwych rogów.
Tutaj leśne bydlęta! poklęknąć się godzi!
Zacz nie znacie, co za gość w te knieje przychodzi?
To wielki Król Sarmatów, folgując swe brzemię,
Życzliwym dla nas losem zawitał w te ziemie.
Witaj królu zwycięzki!

— — — — — — — — — — — —

Oto nasz dar szczupluchny, przyjmij go życzliwo
Od Satyrów i Faunów, co w tych borach żywą;
Przyjmij oraz tę tajstrę [4]) jak sprzęt leśnej strony,
Tu jest łyżka myśliwska i puhar toczony.“

— — — — — — — — — — — —

Obydwa te utwory Kochanowskiego zostały wspólnie wydrukowane w r. 1578. we Lwowie pod następującym tytułem:

Dryas Zamchana, polonice et latine. Pan Zamchanus latine. Leopoli anno Domini MDLXXVIII. In 4° kart 6.

Pod tytułem rycina, przedstawiająca orła w locie, z głową zwróconą do Zamchu.

Na odwrotnej stronie tytułu słowa:

Cecinere ad Zamchum VIII. idus Maii Anno Domini MDLXXVIII. sub adventu Serenissimi Stephani Regis Pol.

Ostatnią kartę zajmuje Pan Zamchanus.

Estreicher wymienia tylko trzy bibljoteki, jako posiadające ten zabytek: Dzików, Bibljotekę Ordynacji Krasińskich i Bibljotekę Uniwersytecką w Warszawie.

Egzemplarz dzikowski, jedyny w Małopolsce, posłużył jako wzór do sporządzenia przez Władysława Bartynowskiego w r. 1883. w Krakowie, t. zw. przerysu, t. j. kopji, naśladującej oryginał. [5])

Ale sam oryginał czy w tej chwili istnieje? Czy ocalał? Dowiemy się dopiero, gdy ponury bilans katastrofy będzie znany.

Zabytek, o którym mowa, ma niezwykłe znaczenie także ze względu na historję drukarstwa w Polsce, a zwłaszcza drukarstwa lwowskiego. Jestto bowiem pierwszy wogóle druk polski, jaki wykonano we Lwowie!

---

[1]) Siedliskiem dryjad były drzewa. Póty więc mieszkały w lasach, póki one nie padły od topora. Wszystkie szczegóły powyższe wyjmujemy z Wydania pomnikowego dzieł Jana Kochanowskiego, Warszawa 1884., w którem Dryas Zamchana znajduje się w opracowaniu Adolfa Święcickiego. T. II. p. 233.

[2]) Pan = bożek leśny.

[3]) Zob.: Poezye Ludwika Kondratowicza, wydanie zupełne, Warszawa 1872., t. VIII., p. 223.

[4]) Tajstra = torba, plecak. Ustęp ten cytowałem w rozprawce p. t. „Jan Sobieski jako myśliwy“ *„Łowiec“* 1926.

[5]) Zob. Katalog Friedleina: „Przedruki autograficzne i homograficzne dawnych dzieł i manuskryptów polskich“.

JAMES OLIVER CURWOOD

POJEDYNEK TYRA

Jestto ustęp z książki znakomitego amerykańskiego pisarza, która w przekładzie polskim Jerzego Marlicza ukazała się pod tytułem „Władca skalnej doliny.“ *) „Tyr“ — był to potężny *„grizzly“* czyli szary niedźwiedź amerykański. Do niego przyplątał się i z nim razem dzielił dolę i niedolę niedźwiadek-sierota, pochodzący z rodu amerykańskich niedźwiedzi czarnych i dlatego nazwany *„Muskwą“.* **) Pewnego razu do królestwa Tyra wtargnął z daleka obcy przybysz, stary niedźwiedź czarny i zrabował mu schowaną resztę jadła z ubitego rena. Tyr schwytał go na gorącym uczynku. Wywiązała się straszliwa walka. Ustęp ten podajemy z upoważnienia p. Haliny Borowikowej, posiadającej wyłączne prawa do dzieł Curwooda na Polskę.

Słońce wejrzało na kotlinę, w której spali Tyr i Muskwa; a w miarę jak złoty jego krąg płynął po niebie coraz wyżej, coraz więcej ciepła niosły w sobie jego strzały.

Tyr zbudzony przeciągnął się, ale nie wstał jeszcze. Zabliźnione rany, sapoos-oowin i wieczorna uczta wprawiły go w dziwnie błogi stan. Nie śpieszył się wcale z opuszczeniem słonecznej wanny. Z zainteresowaniem długo przyglądał się Muskwie. Niedźwiadek dręczony chłodem nocnym, przytulił się do wielkiego grizli, wlazłszy w ciepłe wgłębienie pośród jego łap przednich; leżał zwinięty w kłębek, popiskując cichutko przez sen.

Po chwili Tyr uczynił coś, do czego wczoraj jeszcze nie byłby absolutnie zdolny: powąchał przyjaźnie futrzany kłębek zwinięty tuż u jego piersi, i szerokim czerwonym ozorem polizał pyszczek Muskwy. A Muskwa, który śnił być może o swojej mamie, instynktownie przytulił się bliżej.

Grizli niezupełnie się jeszcze przyzwyczaił do nowego stanu rzeczy. Musiał przezwyciężyć wrodzony wstręt do wszelkich bachorów, oraz zwalczyć nawyknienie dziesięciu lat samotnie spędzonych. Zaczynał jednak pojmować, że bliskość Muskwy jest rzeczą raczej przyjemną. Wraz z przybyciem ludzi wzruszenie, cień wzruszenia przynajmniej, legło na duszy Tyra. Przyjaźń naogół ceni się nisko. Właściwą jej wartość pojmie tylko ten, nad czyją głową zawisła groza śmierci, lub nienawiść wrogów. Tyr, którego śladem dążył poraz pierwszy zajadły prześladowca, czuł niejasny lęk i zaczynał rozumieć, jak potrzebną może mu być niekłamana sympatja Muskwy. Nadchodził zresztą czas miłosnych porywów, a niedźwiadek zachował jeszcze w swem futerku woń matczyną. Tak więc, gdy Muskwa spał jeszcze i w słońcu śnił błogie sny, w sercu Tyra rosło i potężniało uczucie wielkiego zadowolenia.

Obejrzał głąb doliny pełną srebrnej rosy i nie zauważył nic niepokojącego. Wciągnął kilkakrotnie nozdrzami powietrze i poczuł jedynie woń traw, kwiatów i balsamicznych sosen. Wówczas jął lizać ranę i ruch ten zbudził Muskwę.

Niedźwiadek uniósł łebek, mrugnął oczyma, potarł łapami pyszczek spędzając resztki snu, i wstał zadowolony i wypoczęty. Wczorajsze znużenie poszło już w zupełną niepamięć. Gotów był znosić nowe trudy.

Kiedy Tyr wygrzewał się w cieple słonecznem, spoglądając w głąb doliny, Muskwa poszedł zwiedzać szczeliny skalne. Po chwili Tyr odwrócił wzrok od zielonych nizin, i z pewną ciekawością jął śledzić Muskwę. Potem wstał dość raptownie i otrząsnął się. Około pięciu minut trwał nieruchomo jak głaz i ponownie wietrzył; Muskwa przycłapał do jego boku i nastawiwszy uszki, wietrzył również. Wreszcie jął spoglądać to na Tyra, to w rozzłoconą słońcem dal, z niemem pytaniem w bystrych ślepiach.

Grizli odpowiedział mu dość rychło. Okrążając wiszar skalny, jął zstępować w dół zbocza, a Muskwa tak jak wczoraj telepał się jego śladem. Czuł się zresztą dwa razy większy i silniejszy niż poprzedniego dnia, nie dokuczał mu już wcale brak matczynego mleka. Tyr dokonał w nim olbrzymiego przewrotu w stosunkowo krótkim czasie: wciągnął go w krąg mięsożernych. Muskwa wiedział, że obaj dążą teraz na miejsce cudownej uczty.

Przebyli już połowę odległości dzielącej ich od doliny, gdy wiew wiatru podrażnił nozdrza Tyra obcą wonią. Grizli przystanął, a w piersi jego wezbrał głuchy ryk, kreza jego na karku zjeżyła się groźnie. Tyr nie był w tej chwili usposobiony pobłażliwie, poczuł zaś odór innego niedźwiedzia, i to niedźwiedzia samca, nie samicy; dla samicy miałby ostatecznie pewne względy. Woń płynęła wprost z kępy balsamicznych sosen, śród których wczoraj wieczór ukryte zostały resztki karibu.

Tyr nie wahał się ani chwili. Jął zstępować w dół zbocza tak szybko, że Muskwa ledwo mógł za nim nadążyć. Przystanęli dopiero u końca łączki, poniżej której leżały jezioro i las. Muskwa dyszał, wywiesiwszy język. Nagle uszki stanęły mu sztorcem, wzrok znieruchomiał, a wszystkie mięśnie drobnego ciała zesztywniały jak stal.

Skrytka ich, położona już tylko o kilkadziesiąt metrów dalej, ziała pustką. Sprawcą kradzieży był wspaniały samotnik — olbrzymi czarny niedźwiedź. Ważył zapewne o trzysta fuutów mniej niż Tyr, ale dorównywał mu wzrostem. Futro lśniło na nim jak atłas. Bezwątpienia był to najsilniejszy i najbardziej wojowniczy z wszystkich niedźwiedzi, jakie kiedykolwiek zabrnęły na terytorjum Tyra. Wyciągnął właśnie trupa karibu z pod gałęzi i posilał się gruntownie, w oczach Tyra i Muskwy.

Po chwili Muskwa podniósł łebek i spojrzał na swego towarzysza. — Ściągnął nam śniadanie! Cóż poczniemy teraz?

Tyr zwolna ruszył naprzód, niby nie spiesząc się wcale. Gdy był już o trzydzieści kroków mniej więcej od srraszliwego przeciwnika, przystanął raz jeszcze.

*) Zob. w tymże zeszycie „Notatki bibljograficzne“.

**) *Muskwa* jestto imię, jakiem Indjanie oznaczają niedźwiedzia czarnego *(Ursus americanus, Barybal).*

W postawie jego nie znać było groźby; jedynie grzywa na karku jeżyła się coraz bardziej.

Czarny niedźwiedź przestał jeść i uniósł łeb z nad swojej uczty. Oba potwory długą chwilę spoglądały sobie w ślepia. Olbrzymi łeb Tyra kołysał się teraz powolnym, wahadłowym ruchem. Czarny niedźwiedź trwał nieruchomo jak sfinks. Muskwa stał poza Tyrem, oddalony od niego o parę stóp zaledwie. Niejasno zdawał sobie sprawę z nadchodzących wielkich zdarzeń. Gotów był zarówno do szalonej ucieczki w towarzystwie Tyra, jak i do walki u jego boku. Był ogromnie zainteresowany wahadłowym ruchem głowy Tyra. Wszelkie dzikie stworzenie zna sens tego ruchu; człowiek nauczył się go rozumieć.

— Jeśli grizli kołysze łbem, strzeż go się! — takie jest pierwsze przykazanie myśliwego w Górach Skalistych.

Czarny niedźwiedź pojmował doskonale o co chodzi. Tyr był pewien, że przeciwnik lada chwila pocznie się cofać, dokona zwrotu wstecz i umknie. Grizli wspaniałomyślnie pozostawił mu na to dość czasu Ale czarny rabuś poraz pierwszy zwiedzał tę dolinę. Być może zresztą, iż z dotychczasowych walk wychodził zawsze zwycięsko, a na swojem terytorjum sprawował królewską władzę. Dość, że nie ustąpił. Przeciwnie, pierwszy wydał groźny ryk.

Bez pośpiechu i bez widocznego wzruszenia Tyr ruszył wprost na łupieżcę. Muskwa postąpił za nim parę kroków, poczem przypadł do ziemi i rozpłaszczył się na brzuszku. O parę metrów od ścierwa grizli przystanął raz jeszcze; łeb jego kołysał się coraz prędzej, a z napół otwartej paszczy płynął pomruk grzmotu. Czarny obnażył kły. Muskwa jęknął. Tyr posunął się naprzód małemi kroczkami; rozwarte jego szczęki ziały tuż nad ziemią. Olbrzymie cielsko prężyło się, gotowe do skoku. Czarny samotnik stał wciąż nieulękły.

Dzieliła ich już zaledwie odległość metrowa. Nastała chwila bezruchu i ciszy. Jak dwoje gniewnych ludzi walczyli narazie tylko siłą pełnych groźby oczu. Muskwa drżał jak w febrze i jęczał cichutko bez przerwy; jęk ten podrażnił słuch Tyra. To, co nastąpiło teraz, stało się tak nagle, że Muskwa oniemiał ze zgrozy i zmienił się prawie w kamień. Z ochrypłym rykiem bojowym rykiem grizlich, nie dającym się porównać z głosem żadnego innego zwierza, Tyr rzucił się naprzód. Czarny niedźwiedź uniósł się lekko na zadzie, tyle tylko, by móc uskoczyć wstecz. Zderzyli się piersiami; czarny zwalił się na grzbiet, ale Tyr był zbyt wytrawnym szermierzem, by dać się wziąć na kawał. Unikając ostrych pazurów przeciwnika, wbił w jego ramię aż po kość olbrzymie kły, zadając mu jednocześnie lewą łapą cios straszliwy. Ale pazury Tyra były stępione częstem ryciem śród skał; czarny niedźwiedź, wspinający się na drzewa, miał szpony jak sztylety ostre, i niby sztylety wbił je w zranioną łopatkę Tyra. Trysnęła krew.

Z rykiem tak strasznym, jakby ziemia wokół drgnęła, grizli cofnął się nieco i stanął dęba, rozwijając całą wysokość potwornego cielska. Uczciwie ostrzegł był swego przeciwnika. Nawet po rozpoczęciu walki pozwoliłby mu jeszcze ratować się ucieczką; teraz jednak zapowiadał bój na śmierć i życie. Czarny niedźwiedź był nietylko złodziejem, lecz zbójcą, którego pazury wznowiły ranę zadaną ręką ludzką. Przed chwilą Tyr walczył jedynie o swoje prawa, bez wielkiej nienawiści nawet i bez chęci mordu. Teraz wyglądał strasznie. W rozdziawionej paszczy, z poza ściągniętych warg łyskały białe kły i krwawe dziąsła; wokół nozdrzy pod skórą nabrzmiały mięśnie jak powrozy; pomiędzy ślepia legła głęboka wyrwa, niby cios zadany siekierą w pień drzewny. Oczy jarzyły się jak gwiazdy; zielonkawo czarne źrenice ginęły niemal w tym piekielnym blasku.

Tyr niedługo walczył stojąc. Parę sekund tylko trwał wyprostowany, ale gdy czarny niedźwiedź postąpił krok naprzód, grizli szybko opadł na przednie łapy. Sczepili się wnet z sobą; Muskwa spłaszczony i drżący jarzącemi ślepkami śledził przebieg walki.

Widok był straszny! W górach lub dżunglach tylko odbywają się podobne boje. Dolina trzęsła się od ryku. Potworne bestje niby ludzkie istoty brały się wzajem za bary, a pazury tylnych łap i okropne zęby rwały, szarpały, darły...

Ciasno spleceni przewalili się po trawie, i to jeden, to drugi był górą. Czarny walczył przeważnie przy pomocy pazurów; Tyr posługiwł się zębami i straszliwą przednia łapą. Jak wówczas, gdy mordował karibu, tak i teraz dążył do utrzymania się pod spodem, grzbietem do ziemi. Raz poraz zanurzał długie kły w cielsku wroga; czarny, puszczając w ruch zęby, darł na sztuki ramię Tyra. Nagle spotkały się ich szczęki.

Muskwa usłyszał ostry zgrzyt i ponury chrupot łamanej kości. Czarny niedźwiedź zwalił się na bok, jakby mu pękł kręgosłup, a Tyr chwycił go za gardło.

Czarny walczył jeszcze; ale jego szeroko rozwarta paszcza była już bezsilną, gdyż szczęki Tyra zaciskały się coraz więcej wokół jego krtani. Muskwa wstał. Trząsł się w dalszym ciągu, nie ze strachu jednak, tylko przejęty nowem, nieznanem mu dotąd wzruszeniem. Tak, to, na co patrzał, różniło się wielce od igraszek, jakiemi bawiła go matka. Poraz pierwszy widział bitwę i krew zawrzała mu nagle. Z dziecinnym pomrukiem rzucił się w wir walki. Ząbki jego wniknęły poprzez gęste futro, w twardą skórę niedźwiedziego zadu. Łapkami wparty w ziemię darł i szarpał, z pyszczkiem pełnym sierści, obłąkany ślepym szałem.

Czarny szalonym wysiłkiem dokonał półobrotu, legł na grzbiet i szarpnął straszliwie tylną łapą. Trafił w brzuch Tyra. Podobny cios zabiłby karibu, wypuszczając zeń wnętrzności; grizli otrzymał jedynie głęboką i na trzy stopy długą ranę. Błyskawicznie rzucił się zaraz w bok i powtórny cios dosięgnął Muskwę. Pięta czarnego trzasnęła niedźwiadka wpół ciała i rzuciła nim jak z procy o parę metrów. Malec gruchnął na trawę oszołomiony zupełnie.

W tejże chwili Tyr oderwał kły od gardła wroga i uskoczył nieco w bok. Ociekał krwią. Ramię, kark i pierś czarnego niedźwiedzia broczyły ciemną posoką;

wydarte kawały mięsa zwisały na strzępach skóry. Spróbował jednak wstać, i Tyr rzucił się nań ponownie Tym razem wykonał niezawodnie śmiertelny chwyt; potężne szczęki zwarł na pysku czarnego zbójcy. Nastąpił okropny trzask i w mgnieniu oka walka ustała. Czarny niedźwiedź nie mógł już żyć, ale Tyr nie wiedział o tem. Z łatwością rozdarł mu teraz brzuch pazurami łap tylnych. W dziesięć minut po śmierci wroga szarpał go jeszcze i wywlekał zeń wnętrzności. Gdy wreszcie skończył, plac boju przedstawiał ohydny widok. Ziemia była przesycona krwią i poradlona niby sochą. Walały się na niej kawały mięsa i strzępy ciemnego futra, a czarny niedźwiedź był wypatroszony zupełnie.

O dwie mile stąd na zboczu górskiem Langdon i Bruce śmiertelnie bladzi, bez tchu niemal, nie odrywali oczu od lornetek. Byli świadkami całej bitwy, ale z powodu znacznej odległości nie dojrzeli małego Muskwy. Gdy Tyr nad trupem wroga zwolna nabierał tchu, Langdon opuścił szkło ku ziemi.

— Jezus Marja! — westchnął.

Bruce skoczył na równe nogi.

— Chodźże; — krzyknął. Czarny już zdechł. Trzeba śpieszyć, a dostaniemy grizli!

A tam na łące Muskwa podbiegł do Tyra, niosąc w pyszczku strzęp ciepłej jeszcze skóry i kłak futra. Tyr zniżył ku niemu swój wielki, okrwawiony łeb i językiem przejechał po małej mordce. Brunatny niedźwiadek dobrze zdał egzamin; Tyr widział snać i zrozumiał wszystko.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

Ciąg dalszy.

Znalazłszy się tam — a wyskakuje zazwyczaj z gąszczu w raptownych susach — jest czujną nadzwyczajnie. Poznać to po nerwowych ruchach, gdy w urywanem tempie, ciągle nadsłuchując, przesuwa się wśród traw i zarośli, poznać po częstem podnoszeniu głowy w czasie żerowania, poznać po częstem zawijaniu uszami i zwracaniem bacznego wzroku ku gąszczakowi — skąd wyszła — jakby dla sprawdzenia, czy w razie niebezpieczeństwa, będzie mogła rychło znaleść się w swojej kryjówce. Stąd też nie wielu myśliwych Europejczyków pochwalić się może większą ilością zdobytych głów „Mbawali“, a i ci szczęśliwsi strzelali ją przeważnie śrótem, przypadkowo tu i tam dostawszy ją na strzał „od ręki“. Z tego to sposobu szanujący się myśliwy na terenie afrykańskim rzadko chce korzystać. Jeśli człowiek, na którego usługach stoi broń dalekonośna, w polowaniu na te antylopy małym może się poszczycić sukcesem, to stwierdzić muszę, że i lampart, ten zaciekły jej prześladowca — i jak już określiłem wyżej — jej współlokator — również nie jest szczęśliwszym w łowach na nią.

A poluje na swą sąsiadkę z wytrwałością iście kocią, pilnie obserwując wszystkie jej przejścia w gąszczu na żerowisko lub do strumienia nieraz dzień cały przeleżawszy w upatrzonem miejscu, aby wieczorem lub nocą napaść ją znienacka.

Jak wygląda lampart, przez niektórych także panterą zwany, nie potrzebuję chyba pisać. Jest on ogółowi dobrze znany, czyto z książek, czyteż z menażerji lub ogrodów zoologicznych. Jego przysłowiowa krwiożerczość nie ulega wątpliwości. Mogę też stwierdzić na podstawie własnej obserwacji, że nietylko jest krwiożerczy, bo dla zaspokojenia swego apetytu w pierwszym rzędzie krwi pożąda, ale także bardzo wybredny w wyszukiwaniu dla siebie smacznych kąsków. Gdy łów obfity, zaspakaja się krwią, którą wypija z przeżartej krtani złowionego zwierzęcia i miększemi kąskami z wnętrza, zostawiając zwykle resztę na gorsze czasy. Resztki te zawleka najczęściej w gąszcz a często zawiesza na gałęziach w obawie przed hieną lub mrówkami — o czem wnet zapomina, gdy coś nowego może wybredne gusta jego zaspokoić. Nie gardzi jednak i mięsem, woli lepsze aniżeli gorsze, a wyróżnia z pośród dań swego „menu“ mięso małp, większych gryzoniów i mniejszych antylop, zaś z pośród tych ostatnich — mięso „Mbawali“. Na przednowku nie gardzi szczurami i mniejszemi ssakami, a w czasach wielkiego głodu i — padliną.

Nazywają go dzikim; określenie trochę dziwne, bo zarówno tak dzikim może być i lew i serwal i cybeta, mające prawie te same cechy charakteru kota-drapieżcy. Czem się wyróżnia, jako dziki, względnie dzikszy od reszty kotów, to przedziwnym sposobem ukrywania się przed oczyma ludzi, nawet tam, gdzie w ich pobliżu stale grasuje, i mógł się z ich widokiem oswoić. Nie znosi pełnego oświetlenia słonecznego i tylko najwyższa potrzeba popycha go do wychylania się we dnie poza gąszcz, czego nie można powiedzieć o innych kotach, z wyjątkiem chyba cybety.
To też zetknięcie się z lampartem w ciągu dnia należy do rzadkości.

Bawołu i większych antylop, któreby mu mogły stawić skuteczny opór, z reguły nie tyka. Bardzo rzadko odważy się napaść dorosłego mężczyznę. Zato tu i tam — doprowadzony głodem do ostateczności — rzuci się na bezbronną kobietę i dziecko, lub osobę niedołężną, wywlekając nieraz ofiarę z pośrodka wsi.

Mimo swej zuchwałości jest właściwie bojaźliwym i nie dotrzymuje placu człowiekowi przy łupie, jak to czyni lew, lecz usłyszawszy zbliżających się ludzi, zmyka corychlej. Gdy jest osaczony, stara się ukryć w najciemniejszym zakątku, aby w stosownej chwili wymknąć się niespostrzeżenie nie wydawszy nieraz głosu. Jabym go nazwał — nie dzikim — ale tchórzem, boć porównując niskie właściwości ludzkie z właściwościami tego drapieżcy, możnaby przykładowo stwierdzić, że najwięksi tchórze byli najczęściej krwiożerczy i okrutni. Dla tego jest on dla człowieka, a właściwie dla myśliwego zawsze niebezpieczny, a często nawet bardzo groźny.

Parę obrazków z życia „Mbawali“ i lamparta, zebranych z własnego doświadczenia, da może lepszy pogląd na wzajemny stosunek tych dwojga zwierząt do siebie, oraz uprzytomni z jakiemi trudnościami musi walczyć myśliwy, polujący przeważnie samotrzeć, aby w polowaniu na te zwierzęta, a przedewszystkiem na lamparta — zyskał jakie takie powodzenie.

* * *

W miejscowości Szamu (u ujścia Sziry do Zambezy), gdzie z moimi dwoma towarzyszami (Polakami) mieliśmy nasze „pied à terre“ dla naszych wypraw w głąb kraju, spędzałem często długie miesiące, zwłaszcza w porze deszczów.

C. d. n.

Wyrób amunicji małokalibrowej.

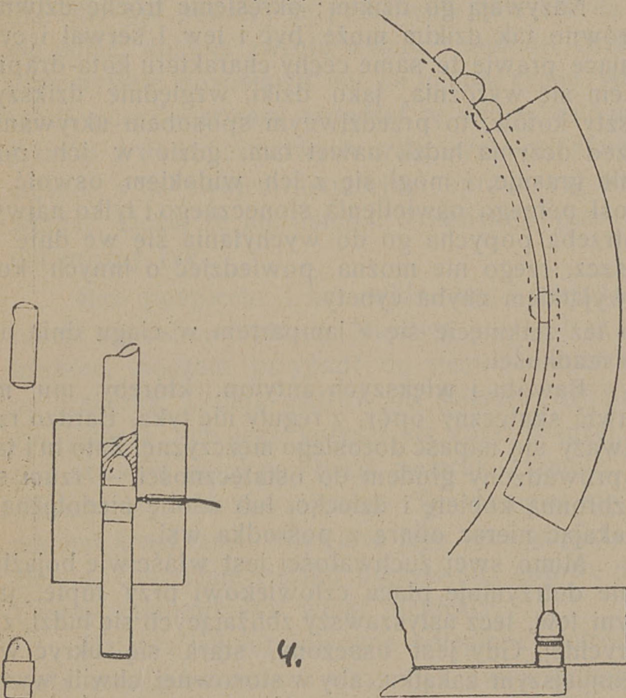
Red.: Podajemy poniżej ciekawy artykuł umieszczony w „American Rifleman“ w streszczeniu por. Podoskiego.

Dokończenie

II. WYKONANIE POCISKU.

Ołowiany drut odpowiedniej grubości przesuwa się przez maszynę, która odcina kawałki, czyli nieco dłuższe, a przez to cięższe od pocisków ·22 wykończonych. Walce te następnie zostają wtłoczone z wielką siłą do formy, której kształt i objętość odpowiadają dokładnie pociskowi. Mały otwór w dnie formy pozwala na wytryśnięcie zbytecznej ilości ołowiu, — dzięki stałej objętości komory otrzymujemy pociski o bardzo jednolitej wadze (rys. 4.)

Poto, aby natłuszczenie utrzymało się na pocisku, musi on posiadać odpowiednie rowki lub kanały. Kanały te wyciska się dzięki przesunięciu pocisku pomiędzy kołem z wystającemi polami a nieruchomym wycinkiem, zaopatrzonym w bruzdy (rys. 5).



Rys. 4. Rys. 5.

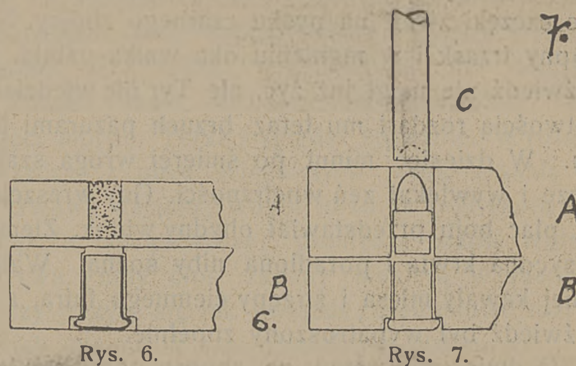
Łuski i pociski są obecnie gotowe do załadowania

III. NABIJANIE I ZESPOLENIE.

Napełnienie łuski prochem i umieszczenie pocisku odbywa się zwykle w sposób następujący (rys. 6):

Mamy trzy oddzielne płyty dziurkowane, których otwory ściśle odpowiadają sobie wzajemnie. W płycie dolnej umieszczono łuski, w następnej — ładunki prochu, z tem, iż płyta ta jest zamknięta od dołu wyciąganą deszczułką. Płyta z prochem zostaje położona na płycie z łuskami tak, że otwory łusek znajdują się pod zamkniętemi gniazdkami z prochem. Po wyciągnięciu deszczułek proch wpada do łusek. Następnie usuwamy płytę prochową, a nakładamy płytę trzecią, w gniazdkach której znajdują się pociski. Odpowiednia prasa z tłokami, pasującymi do gniazd pocisków, naciska na płytę górną i wsuwa pociski do łusek (rys. 7).

Należy obecnie zacisnąć łuski z pociskami, co wykonujemy na maszynie podobnej do tej, która żłobiła łuski do smaru na pociskach, następnie naboje zostają umyte w roztworze chemicznym, który je oczyści ze śniedzi i brudu, wreszcie, pociski zostają natłuszczone w taki sposób, aby tłuszcz nie osiadał na łusce.

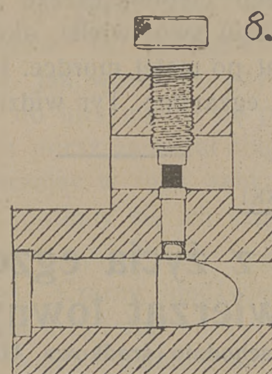


Rys. 6. Rys. 7.

IV. PRÓBY PARTJI AMUNICJI.

Przed wypuszczeniem na rynek, każda z partji amunicji winna przejść przez próby, które dowiodą jej zdatności do celów myśliwskich i tarczowych. Próby te polegają na: zbadaniu jednolitości i wysokości ciśnienia, pomiarach szybkości początkowej, wypróbowania naboi podwzględem fnnkcjonowania w broniach jednostrzałowych, powtarzalnych i automatycznych, wreszcie, na próbach precyzji czyli pomiarach rozrzutu.

Próba ciśnienia odbywa się w karabinie z urządzeniem crusherowem (rys. 8).

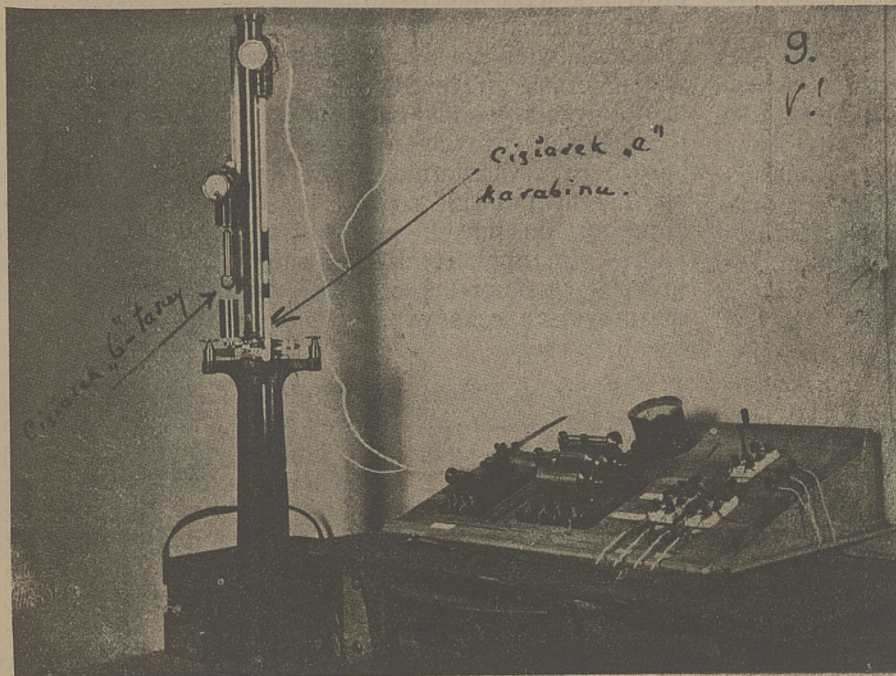


Rys. 8.

Crusher jestto aparat, dzięki któremu, ciśnienie w chwili wybuchu działa na tłok stalowy umieszczony w jednej ze ścian komory wybuchowej i zostaje przeniesiony na walec z miękkiej miedzi, znajdujący się w odpowiedniej komorze. Długość tego walca została nadzwyczaj dokładnie zmierzona przed umieszczeniem go w crusherze, po strzale wyjmujemy walec i mierzymy go ponownie. Odnajdując wartość otrzymanego zmniejszenia długości w odpowiednich tabelach, dowiadujemy się, jakiem było ciśnienie w czasie danego wybuchu.

Szybkość początkową mierzymy przy pomocy tzw. elektro - chronografu. Jestto aparat składający się zasadniczo z dwóch zamkniętych obiegów, przyczem obieg pierwszy, lub wylotowy, posiada elektromagnes, przytrzymujący ciężarek okopcony, oraz drucik mosiężny, przełożony przez wylot karabinu, — obieg drugi, czyli tarczowy, przechodzi przez tarczę stalową z odpowiednim wyłącznikiem, działającym na skutek uderzenia pocisku i posiada również ciężarek, odrywający się od elektro-magnesu w chwili przerwania połączenia (rys. 9).

Przed strzałem włączamy prąd w oba obiegi i zawieszamy ciężarki. Padł strzał. Pocisk przerwał drucik na wylocie lufy, długi ciężarek opada. Pocisk doleciał do tarczy, uderzył w nią, rozłączył przeto drugi obieg, drugi elektro-magnes puścił krótki ciężarek, który opada



Rys. 9.

i uderza w odpowiedni nóż, który wybije kreskę, na zakopconej części długiego ciężarka, opadającego wzdłuż noża. Przeciąg czasu, który upłynął pomiędzy przerwaniem obiegu wylotowego, a obiegu tarczy, odznacza się przeto na długim ciężarku, zależnie od położenia kreski noża. Odmierzając odległość tej kreski od stałego punktu na początku długiego ciężarka, otrzymujemy pewną cyfrę, dzięki której odnajdujemy w tablicach bądź to czas przelotu pocisku od wylotu karabinu do tarczy, — bądź to średnią szybkość jego lotu na tej przestrzeni (dlatego też, jeżeli przy danej szybkości początkowej podajemy V 25 = 300 m/sek, to znaczy, iż średnia szybkość pocisku na pierwszych 25-ciu metrach wynosi 300 metrów na sekundę).

Nie wystarczy zbadać ciśnienie i szybkość początkową jednego pocisku w danej partji, trzeba wyrobić sobie pojęcie o regularności tej amunicji. W tym celu ustala się tzw. tolerancję, czyli graniczne odchylenia, których szybkość lub ciśnienie, wykazane przez kilkadziesiąt lub kilkaset pocisków nie może przekraczać. Np. tolerancja dla danego naboju wynosi od 840-stu do 880-ciu metrów na sekundę. Oczywiście, im mniejszą jest różnica między górną a dolną cyfrą tolerancji, tem dokładniejszą jest partja amunicji.

Próba funkcjonowania odbywa się dzięki daniu kilkuset strzałów z danej amunicji w karabinach wzorcowych różnych systemów i zauważeniu, czy łuski łatwo wchodzą do komory, nie zatrzymują się i nie zacinają przy wyrzuceniu — i czy swobodnie przechodzą przez magazynki broni powtarzalnych i automatycznych.

Próba precyzji polega na daniu pewnej ilości serji z dwudziestu strzałów — zwykle na 50 metrów dla naboi 22 long rifle, z broni wzorcowej utrzymanej w imadle, albo ze specjalnych luf bardzo grubych i przeto pozbawionych wibracji, tzw. luf Manna. Należy odmierzyć rozrzut otrzymany (zwykle największą średnicę, czyli odległość między środkami dwóch najbardziej od siebie oddalonych przestrzelin, lub też dwa wymiary — szerokość i wysokość, obejmując rozrzut w prostokąt). Jestto ostateczna próba, świadcząca o dokładności amunicji, dla zobrazowania nowoczesnych wymagań wystarczy zaznaczyć, iż pierwszorzędne fahryki amunicji wymagają rozrzutów o średnicy nie większej jak 2 cm na 50 m.

* * *

Powyższe dane opisują w sposób bardzo streszczony metody wytwarzania dobrej amunicji. Nie dają za to pojęcia o ogromnym nakładzie czasu i pieniędzy, oraz rozległych pracach doświadczalnych i naukowych, jakie każda fabryka musi poświęcać nad ciągłem udoskonaleniem swoich wyrobów, aby utrzymać się na poziomie wymagań rynku i postępów nowoczesnej techniki.

Obecna wytwórnia ściśle zmechanizowana niema możności i czasu przeprowadzenia odpowiednich prób. Dlatego też przy fabrykach istnieją całe zakłady doświadczalne, często większe i lepiej wyposażone od takich samych instytucji przy służbie uzbrojenia danego państwa.

Na zakończenie powiemy, iż sekretem fabrykacji każdej dobrej wytwórni amunicji jest bardzo prosta, a jednak trudna i uciążliwa do wprowadzenia w życie zasada stosowania zawsze najlepszych maszyn, najlepszej obsady robotniczej oraz ciągłej czujności i uwagi nad utrzymaniem możliwie najwyższego poziomu produkcji.

ROMAN HOROSZKIEWICZ.

Z nad Piny i Prypeci.

Z sentymentem i uczuciem dużej przyjemności biorę zawsze do ręki „Łowca“. Zrozumiałem to jest zupełnie u kogoś, kto się czytać uczył na tytule tego pisma i kto wie, że na kartach jego znajdzie zapomnienie o codziennej szarej doli i spotka świat inny, zupełnie inny.

Zwrócić jeszcze należy uwagę i na to, że „Łowiec“ właśnie łączył w czasach zaborów, w latach może najcięższych — Polaków różno-poddanych. Że w „Łowcu“ i ukraińskie polowania, i poznańskie, i litewskie opisywane były — i rycerze św. Huberta, jedyni może czuli się i tu i tam prawdziwymi gospodarzami, na swojem, u siebie i między swoimi.

Dzisiaj za obowiązek sobie wprost poczytuję pospieszyć do „Łowca“ z opisami z tej dzielnicy Polski, tak mało znanej w dodatku, jaką jest Polesie. Niech i ja dorzucę do tego skarbca dziejów myślistwa, jakim jest „Łowiec“ garść skromną mojej pracy. Nie będę pisał na jakiś bardzo ściśle określony temat. Chcę poprostu spisać wrażenia raczej myśliwskie z przestrzeni lat kilku, z powiatów wschodnich województwa poleskiego, stanowiących najprawdziwsze Polesie — Pińszczyznę (pow. piński, łuniniecki, stoliński).

Nie jest Polska wcale ubogą w tereny łowieckie. Dwie są w w niej jednak ziemie, na których nazwanie samo, żywiej bić poczyna serce myśliwego: Karpaty i Polesie... Dwa tereny tak odmienne, a tak równie ponętne.

Karpaty — kraina gór i borów...

Polesie — kraj jezior i błot...

Dzisiejsze łowiectwo na polesiu — to cień jeno przedwojennego. Fronty i walki liczne wyniszczyły i wypłoszyły zwierzynę. Wraca jednak teraz porządek i powoli, powoli zaczyna świtać i myślistwu poleskiemu

lepsza przyszłość. Mamy przecież takich myśliwych, jak Karol ks. Radziwiłł, jak Franciszek ks. Drucki-Lubecki. W każdym powiecie istnieje już i powiatowe Towarzystwo Łowieckie. Jak funkcjonuje? Ha, bardzo różnie, ale jednak w niektórych powiatach postęp jest, i to bardzo znaczny.

Taki n. p. najbliższy mi powiat piński. Towarzystwo Łowieckie ma tu swoje tereny i stróżów a pozatem jego Prezes Starosta Wacław Bołdok w całym powiecie o myślistwo dba, i gminnym Inspektorom łowieckim spać nie pozwala.

Trzeba rozpocząć jednak „od początku“, to jest opisywać zacząć wreszcie wspomnienia i wrażenia. Osobno chyba opiszę kiedyś i wilcze łowy, i z krykuchą polowania, a teraz cofnijmy się w rok 1925 i ogólne tylko wrażenia z niego zanotujmy. Jeżeli echa polowań i w innych stronach Polski tu się odczuwa, darować trzeba, myśliwy granic nie lubi i chętnie ich nie uznaje.

Z POLOWAŃ ROKU 1925-go.

Zima roku tego, bezmroźna bezśnieżna, zmuszała poprostu do rozpamiętywania tylko ubiegłych dni pracy myśliwskiej. A jeśli się nawet i trafił dzień jaki możliwy i dało się zapolować, to i porównań wtedy z przeszłością, dla teraźniejszości naturalnie niekorzystnych dosyć się znalazło.

Trzeba jednak wziąć się do pisania — my jeszcze na Polesiu maszyn mamy mało, zatem dosłownie trzeba ująć za pióro, i chociaż skromnemi rezultatami, oglądając fotografje (o ile się je ma) podzielić się z łaskawymi czytelnikami.

Wyrywa się serce wprawdzie do lat dawnych — do podolskich słynnych lasów, nad Dniestr, nad Seret i Zbrucz, ale ograniczyć się narazie trzeba. Polesie jest w tytule — o Polesiu zatem pisać należy. By już następnie o niem wyłącznie pisać, zanotuję tu odrazu polowania w Małopolsce w których udział brałem. Będą to dnie polowań w słynnej poturzyckiej kniei, hr. Dzieduszyckich w sokalskim powiecie. Aura i tam spowodowała, że w rewirze znanym z zajęcy, padło w jeden dzień, w siedem strzelb tylko dwa lisy i 22 zające. Drugi dzień polowania w którym specjalnie lisów tylko szukano, przyniósł 5 lisów i 4 zające. To drugie polowanie, w jeszcze gorszych warunkach się odbyło, bo przy wietrze, który płoszył zwierzynę.

* * *

A teraz Pińszczyzna: kraj kaczek i głuszców, wilków, bobrów, łosi i niedźwiedzi — zwierzyny, na wspomienie której zaraz silniej drży serce myśiiwego. Niestety przyjdzie mi pisać i nie o niedźwiedziach i nie o łosiach a nawet o głuszcach i o wilkach nie teraz. O kaczkach też nie, chociaż o nich mogę napisać sporo, odkładam sobie to jednak do wiosny, by przyszłe wiosenne wrażenia dodawszy do dawniejszych, połączyć je w całość godną czytelników „Łowca“. Na teraz zanotuję tu polowania z psami gończemi na zające i na dziki. Z psami gończemi na zające, te urządza nam tu w pińskim powiecie p. Piotr Olewiński z Poczapowa, dziki — to specjalność p. Piotra Młodzianowskiego z Newla.

Polowania na zające z gończemi, z któremi po raz pierwszy spotkałem się na Polesiu, znałem przedtem tylko z opowiadań ojca mego Tadeusza, który jako młody człowiek tak polował na Podkarpaciu. Utkwiła mi do dziś w pamięci scena przez niego opowiadana, o wyrywaniu sobie strzelby jednej przez dwóch sąsiadów, z których jeden do drugiego „na wizytę“ przyszedł, znudzony długiem czekaniem, a strzelbę zostawił nieszczęśliwiec na swojem stanowisku. Zając naturalnie w tym czasie przyszedł — i poszedł. Odznaczają się te polowania wielką barwnością i rozmaitością, zające i psy forteli różnych używają i kopyra stary, często bardzo psychologicznie kombinując, wymiguje się z opresji. Tereny poleskie zarosłe krzakami, pełne bagnistych komyszy, do innych polowań w wielu miejscach nie nadają się zupełnie. Różne zatem Spiewaki, Zagraje, Lutnie i Doskocze, święcą tu swoje tryumfy jak za pradziadowskich czasów.

* * *

Słyną w Pińszczyźnie polowania w Newlu u p. p. Młodzianowskich. Młody gospodarz, myśliwy w dobrym stylu, gościnnie knieje swe dla sąsiadów otwiera. 2 stycznia właśnie 1925 r. w siedem strzelb padło u niego 3 dziki, 2 kozły i 2 lisy. Dzik jeden szczególnie, przed psami przez kpt. Henryka Konara ubity, dużo dał emocji uczestnikom polowania.

* * *

Mimo tych chwil jasnych, ogólnie biorąc, obecne stosunki myśliwskie na Polesiu (rok 1925) są niewesołe. Poluje się tu „na dziko“ dosłownie. Dużo o polowaniach różni różnie mówią, ale i „słynny“ poleski myśliwy do siuty jak nie strzeli, do — na sąsiada idącej zwierzyny wygarnie, („kto pierwszy, ten lepszy“) — a już o poszanowaniu cudzych terenów mowy niema. Za myśliwego uważa się każdy, kogo stać na... pożyczenie strzelby. (Gorej jeśli na kupienie, bo wtedy już poluje stale). Uzdrowić te stosunki może tylko planowa akcja prawdziwych myśliwych, dobrze zorganizowanych. Takich nam tu Bogu dzięki nie brak. Powstałe niedawno w Pińsku, a właściwie przeorganizowane, Powiatowe Towarzystwo Łowieckie, poważne ma zamiary w tym kierunku. Oby mu zatem św. Hubert dopomógł.

* * *

Nie zawiodły przeczucia i życzenia, pewien skutek już odniosły. Dzisiaj w r. 1927 znać już dużą poprawę w stosunkach łowieckich. W powiecie pińskim, w każdej gminie (jest ich 13), a każda jak mały powiat małopolski rozległa, urzędują inspektorzy łowieccy, granice terenów już są więcej przestrzegane i prawa myśliwskie szanowane. Do doskonałości nam jeszcze bardzo daleko, ale jesteśmy już na dobrej drodze.



Notatki bibljograficzne.

Stefan Krzywoszewski. Z przeżyć i wrażeń myśliwskich. Z 24 rysunkami Kamila Mackiewicza. Gebethner i Wolff. Druk Anczyca, Kraków, 1927. in 4°, str. 125. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy tej książki, już od dłuższego czasu spodziewanej. Teraz, kiedy się ukazała, można powiedzieć, że przeszła oczekiwania. Nie pod względem treści. Bo jaka będzie ta treść, pochodząca z pod pióra znakomitego pisarza i publicysty, było z góry wiadomem. Rutyna, rozmach, struktura literacka — wszystko to jest pierwszorzędne. Nad tą stroną książki zbytecznem byłoby dłużej się rozwodzić. Plastyka artystyczna jest miejscami tak silna, że czytelnik chcąc nie chcąc zostaje przemocą wciągnięty w ostęp, bagno, zamieć śnieżną, — „*przeżywa*“ i „*wrażenia*“ odbiera wraz z autorem. Natomiast przeszła oczekiwania szata zewnętrzna. Oto mamy przed sobą znowu wydawnictwo o wyglądzie przedwojennym. Oczywiście coś podobnego mogło wyjść tylko z pod prasy Anczyca. Przypomina nam się żywo „Soból i panna“ w wydaniu ozdobnem, wykonanem przed 14-tu laty w tymże nakładzie (Gebethnera i Wolffa) i w tejże drukarni. Krój czcionek, po których oko mknie bez znużenia, piękny papier, przejrzystość rysunków. Rysunki Kamila Mackiewicza doskonałe. Niektóre, jak n. p. kośba wśród wody, mogą stanąć godnie obok dzieł Henryka Weyssenhoffa.

Curwood James Oliver. Władca skalnej doliny. (The grizzly) Przekład autoryzowany Jerzego Marlicza. Nakład księgarni św. Wojciecha. Str. 208. Barwna okładka Norblina. Tłumacz w przedmowie podaje krótką biografję Curwooda, jednego z najpopularniejszych autorów amerykańskich, a porównując go z Londonem, pisze: „Obaj zbadali gruntownie daleką północ, obaj w swych utworach mówią o życiu dzikich krain północnych. Curwood jednak jest mniej brutalny, mniej się lubuje w okrucieństwach, a lepiej jeszcze zna dusze ludzi i zwierząt“. Po przeczytaniu „Władcy skalnej doliny“ czytelnik z opinją tą zgodzi się w zupełności. Z przyjemnością dowiadujemy się, że zamierzone jest przyswojenie polskiemu piśmiennictwu całego szeregu powieści i opowiadań tegosamego autora. Pierwsza próba jest bardzo zachęcająca. Ma ona dla nas zresztą i z tego względu niemały powab, że mowa tu o niedźwiedziu, przypominającym żywo naszego „misia“. Amerykański bowiem „*grizzly*“ czyli niedźwiedź szary *(Ursus horribilis)*, we wszystkiem niesłychanie zbliżony jest do niedźwiedzia brunatnego *(Ursus arctos)*, zamieszkującego Polskę. W formie opisu lub djalogu przynosi książka Curwooda całe mnóstwo niezmiernie interesujących i pouczających szczegółów z życia i zwyczajów niedźwiedzi w ogóle. Opowieść oparta ma być na zdarzeniach prawdziwych. A kończy się tem, że pod wpływem przeżyć i obserwacyj w duszy myśliwca dokonywa się przewrót. Wycofuje się z walki i zaprzysięga sobie nie tknąć więcej żadnego niedźwiedzia.

Józef Delmont. Zwierzęta w filmie. Z rysunkami Antoniego Gawińskiego. Wydawnictwo M. Arcta Warszawa 1928. Str. 144. Przedmowa, podpisana literami A. Z., daje polskiemu czytelnikowi objaśnienie działalności Delmonta, jako łowcy, podróżnika, pogromcy zwierząt, a wreszcie reżysera filmowego, zawiera przy tem uwagi poglądowe o piśmiennictwie rozwijającem się na tle tematów zwierzęcych, z uwzględnieniem autorów polskich. Na dziełko składają się opowieści naprawdę bardzo ciekawe. Zaznajamiają nas one z tysiącznemi sposobami zdobywania scen filmowych w dzikiej naturze, przeważnie podzwrotnikowej, pouczają nas o sposobach podpatrywania i chwytania zwierząt, a co najciekawsze o sztuczkach, zniewalających zwierzę, będące na wolności, wkroczyć w pole widzenia aparatu filmowego, co nieraz połączone jest z największem niebezpieczeństwem dla reżysera i „grających“ wraz z tem zwierzęciem aktorów, zawodowych lub przygodnych. Słabą stronę książki stanowią, niestety, rysunki.

Kalendarz myśliwski na r. 1928., pod redakcją Juljana Ejsmonda, opuścił prasę i przedstawia się okazale. Bliższe omówienie zamieścimy w następnym numerze.

Nasza winieta. Rysunek do winiety, która zdobi naczelną stronicę dzisiejszego zeszytu i pozostanie na przyszłość, ofiarowany był przez **Juljusza Kossaka** naszemu czasopismu w r. 1881. Kompozycji tej nieśmiertelnego mistrza poświęcił „*Czas*“ specjalną wzmiankę w numerze z dn. 23. grudnia 1881. Według oryginału wykonał znakomity polski rytownik, p. Artur Napierkowski, kliszę drzeworytniczą, która przetrwała szereg lat, służąc do ozdoby „*Łowca*“ od stycznia 1882. aż do stycznia 1897., poczem musiała być wycofaną z powodu zużycia. Pragnąc tę przepiękną winietę wprowadzić ponownie, redakcja „*Łowca*“ poleciła sporządzić nową kliszę sposobem reprodukcyjnym. *W. Z.*

* *
*

Witołd Ziembicki. Kazimierz hr. Wodzicki w piśmiennictwie niemieckiem. Lwów, 1927. Przedruk z „*Łowca*“ 1927. Nr. 11. Cenna ta praca, będąca uzupełnieniem monografji dzieł i twórczości znakomitego naszego ornitologa, ukazała się w osobnem wydaniu. *A. M.*

Jerzy Podoski. Pistolet w sporcie i samoobronie. Wydawnictwo Związku Strzeleckiego. 1928. Znany nam wszystkim już dobrze Autor prac w dziedzinie broni, podaje nam w powyższem dziełku wiele cennych wskazówek dla sportowców, przedstawia też krytycznie wartość najrozmaitszych typów i systemów broni krótkiej. *A. M.*

Korespondencje

Jagielnica, w listopadzie 1927.

W kluczu Jagielnica odbyło się dnia 9. XI. polowanie kociołkowe na polach Zabłotówka, Ułaszkowce. 7 kół i ścianka Sesolowiecka. Strzelb: 15. Na rozkładzie: 62 zajęcy. W polu widziano kilka większych kuropatw. Stan zajęcy średni.

Dyrekcja dóbr Jagielnica.

Humieniec, w listopadzie 1927.

Zamknięcie polowania.

Starostwo Staro-Samborskie zamknęło z powodu wyniszczenia zwierzyny na podstawie § 57 ust. łow. do 30 listopada 1919 r. polowanie w gminach: Posada Chyrowska, Stochynie, Felsztyn, Posada Felsztyńska, Laszki murowane i Grodowice.

Zarząd dóbr Humieniec, p. Sambor.

Rudnik n. S., w listopadzie 1927.

W dniach 3 i 4 b. m. odbyło się polowanie na 8 stanowisk w głębokiej kniei lasów Dzikowskich. Pierwszego dnia opolowano rewiry Krawce i Buda, drugiego Jadachy, Rozalin i Dęba. Tylko dzięki znakomitej organizacji, głębokiej znajomości sztuki łowieckiej i mistrzowskiemu prowadzeniu polowania, można było

opolować tak znaczny teren w dwa dni i osiągnąć tak wspaniały rezultat.

W pierwszym dniu polowania padło: 1 jeleń, 8 dzików, 25 lisów, 2 rogacze, 1 słonka, 1 kruk. Drugiego dnia: 2 jelenie, 2 dziki, 28 lisów, 1 rogacz, 1 borsuk, 1 słonka. Do zajęcy nie strzelało się, do rogaczy jedynie do szóstaków z rogami.

W dniu 5 b. m. przedpołudniem wzięto jeszcze 3 miociki na bażanty w niewielkim lesie wśród pól. Padło 108 bażantów.

Rezultat ogólny: 3 jelenie, 10 dzików, 53 lisy, 3 rogacze szóstaki, 1 bosuk, 2 słonki, 1 kruk i 108 bażantów.

Podczas polowania w głębokiej kniei, zdarzyło się niezwykłe zajście z dzikiem. W ostatnim miocie za ruszonemi dzikami puszczono psy. Te poszły za sporym wycinkiem, który idąc przed niemi, przebił się przez flankę. Leśniczy, p. Sarnek, z jednym leśnym udał się za psami, by je odwołać i nawrócić do miotu. Doszedłszy do psów i zobaczywszy, że trzymają one wycinka, skoczył na niego, chcąc do związać. Wycinek wyrwał się i zaszarżował p. Sarnka, który uskoczył za drzewo. Psy natomiast powtórnie zatrzymały dzika, a wtedy p. Sarnek z pomocą leśnego związał go i skneblował, poczem zawoławszy kilku naganiaczy, przyniół go do myśliwych. Gospodarz postanowił obdarzyć dzika wolnością, a p. Sarnek wziął się do rezkneblowywania swego jeńca z takim spokojem, jakby chodziło n. p. o rozcięcie pęt kupionej na jarmarku kurze. Zaledwie jednak po rozkneblowaniu zwolnił mu powróz na skokach, wycinek zerwał się i dał kilka susów ku przypatrującej się grupie myśliwych, jakby srszarżując, lecz odstraszony widocznie znaczną ilością ludzi — prócz nas stało tam kilku leśnych i naganiaczy, oraz furmani — zawrócił i znikł w gąszczu. Z poprzedniej walki z nim, trzy psy odniosły rany, na szczęście nie groźne.

W chwili, gdy dzik szedł w susach ku nam, gospodarz, w uznaniu tej odwagi u zwierza zmęczonego walką z psami, wiązaniem i niesieniem, skłonił mu się kapeluszem, obecne zaś na polowaniu trzy córki gospodarza okazały podczas tej niewykonanej, lecz rozpoczętej szarży, jeszczc więcej zimnej krwi, niż niektórzy z myśliwych.

Hieronim Tarnowski.

Rudnik n. S., w listopadzie 1927.

W dniach 8 i 9 listopada 1927 odbyło się polowanie w 8 strzelb w lasach dóbr Narty, Barona Jana Götza-Okocimskiego. Z tej liczby odpada jednak dwóch myśliwych, gdyż Gospodarz i jego Syn prowadzili jedynie polowanie, a na stanowiskach stawali tylko jako „blinde Schützen".

Rezultat ogólny 3 dziki, 14 lisów, 12 zajęcy, 6 słonek, 1 jastrząb. W bardzo wielu miotach, a drugiego dnia literalnie w każdym miocie były dziki lub jelenie, często i jedno i drugie, lecz niestety tylko 4 dziki wyszły na strzał, reszta grubego zwierza przebijała się przez naganką i flanki. Ta ilość grubej zwierzyny tłumaczy mały rezultat zajęczy, gdyż myśliwi nie chcieli sobie psuć możliwości spotkania z nią strzałem do zająca.

Niezwykła malowniczość kniei, różnorodność zwierzyny, a nadewszystko ujmująca gościnność i uprzejmość Pana Domu sprawiły, że polowanie to było istotnie uroczem.

Hieronim Tarnowski.

Andrychów, w grudniu 1927.

Jak corocznie, odbyło się w dniu 3 grudnia b. r. przy pięknej pogodzie na obszarze gminy Inwałd ad Andrychów polowanie, w czasie którego w 6 strzelb padło 17 zajęcy, 1 bażant, 3 koty i kilka srok i wron. Zaznaczyć należy, że stan zajęcy stale się poprawia, natomiast kuropatw, mimo zupełnej ochrony. nic nie przybywa.

Alfred Weber.

Oszczów, p. Hrubieszów.

Jak Św. Mikołaj „nabrał" mnie w tym roku

czyli

Co można czasem strzelić na „tire haut".

W Oszczowie (pow. Hrubieszowski) u sąsiada mego Stan. Kiełczewskiego mieliśmy w 3 strzelby zabić parę zajęcy. Po kilku małych miotach, wziętych w Oszczowskim lasku, znalazło się na rozkładzie: lis i 3 zające i tyle mniej więcej zajęcy było widzianych, co nas zresztą zbytnio nie dziwiło, bo las był pokryty starą szklistą skorupą śnieżną, a pola były czarne.

Wobec tego przerwał Gospodarz polowanie, ale, aby się przekonać, czy przecież po zeszłorocznym ładnym rozkładzie zostało coś na rozpłodek, kazał nagance w drodze do domu przepędzić pola, a my rozstawiliśmy się wzdłuż drogi, więcej w celach obserwacyjnych jak krwiożerczych.

Zaraz przy rozchodzeniu się naganki obserwuję z mego stanowiska sporego białego ptaka, który zrywa się pod samą nagonką, zaraz jednak zapada i w miarę posuwania się naganki zmienia parę razy w krótkich przelotach swoje stanowisko, zbiżając się ku nam. Domyślam się w nim białego błotniaka, który z powodu jakiegoś niedomagania nie mógł podążyć za swemi towarzyszami w cieplejsze kraje. W pewnej jednak chwili, gdy znów siadł na ziemi, rozpoznaję już z całą pewnością jakiegoś rzadkiego gościa z północy: Białą szyję wyciąga w górę i kroczy niezgrabnie. — Łabędź? — Nie! — szyja wprawdzie długa, ale na łabędzia za mały. Zapada znów bliżej: to wielki nur polarny z ciemną głową i ciemnym grzbietem. Zrywa się znowu wycerklowuje akurat w sam środek (jaki czujny) między mnie a mego sąsiada, lecąc ciężko, może na dwa metry ponad ziemią.

W tym momencie zapominam o mej (w lipcu) złamanej nodze i podbiegam. Gdy mija naszą linję, składam się na 50—60 kroków do... wspaniałej kaczki polarnej: biała z ciemną grubą głową — u Kalkusa były niedawno dwie takie — myślę i z tą myślą strącam ją w strzale do głębokiego parowu drogi, gdzie ją na 30 kroków jeszcze dobijam. Chłopca, który ją podnosi pytam z uczuciem radości: „A wiesz co to za ptak?" — „Ta to gęś"! — Oczom swym jeszcze wierzyć nie chcę, ale poznaję: zwykła głupia gęś domowa! — Kiełczewski nadjeżdżając, zdaleka mnie beszta za ryzykowne, przy stanie mej złamanej nogi podbieganie i z ciekawością pyta, com zabił. Sąsiad mój na stanowisku obserwując to wszystko, był też pewny, że zdobyłem jakiegoś rzadkiego gościa z północy. Śmiechu było wiele. Wieczór zgłosili się zaraz pan Abuś i pani Abusiowa po „swoją gęś".

A przy kominku, popijając czarną kawę i likiery, jeszcze długo rozmyślaliśmy o tem, jakto taka „głupia gęś" potrafi dać człowiekowi tyle miłych emocji, a w końcu przecież zawsze potrafi go „nabrać".

Wszystko w świecie się powtarza.

Mieczysław Kruszewski.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 19. grudnia 1927. r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: C. Czarkowski-Golejewski, A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału Inż. A. Ebenberger, Wł. Garapich, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, E. Münter, St. Pieńczykowski, Dr. W. Ziembicki, zastępca Dr. Fr. Piechowski; zaproszony M. Chrzanowski i prowadzący protokół Wł. Wesołowski.

Nieobecność usprawiedliwili: wiceprezes Gen. J. Stiller, Dr. J. Rosinkiewicz i St. Jaśkiewicz.

Przed porządkiem dziennym Prezes podaje do wiadomości, że stosunki łowieckie uregulowane zostały rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3. grudnia 1927., ogłoszonem w numerze 110. Dz. U. R. P. z 14. grudnia 1927., a rozporządzenie to wchodzi w życie w czternaście dni po ogłoszeniu.

Prezes podnosi, że rozporządzenie to ujednostajnia stosunki prawne łowieckie w całem Państwie, reguluje dobrze stosunki łowieckie w niem, a istniejące jeszcze luki lub niejasności dadzą się łatwo usunąć przez dobre rozporządzenie wykonawcze.

Dlatego należy się głęboka wdzięczność tym, którzy do wydania tego aktu legislatywnego się przyczynili.

Dla przestudjowania rozporządzenia i zdania o nim sprawy na następnem posiedzeniu wybrano Komisję, w skład której weszli: C. Czarkowski-Golejewski, A. Mniszek, Dr. Małaczyński, A. Sander i M. Chrzanowski.

Przyjęto sprawozdanie Komisji dla ostatecznego przeprowadzenia ulegalizowania Oddziału Towarzystwa w Krakowie i aprobowano poczynione w tym względzie przez Komisję kroki.

Postanowiono od 1. stycznia 1928. wydawać „Łowca“ dwa razy w miesiącu.

Przyjęto do wiadomości rezygnację delegatów a to: Tadeusza Sośnickjego w powiecie krakowskim, Dr. Ernesta Habichta w powiecie przeworskim i Dr. Franciszka Schrama w powiecie lwowskim.

Mianowano delegatami: Stefana Filipowicza w Synowódzku wyżnem w powiecie skolskim, inż. Władysława Dunka de Sajo w Dubie w powiecie doliniańskim, Kazimierza Wysockiego o Ostoburzu prezesa Rawskiego Powiatowego Towarzystwa Łowieckiego w powiecie rawskim i w porozumieniu z Oddziałem M. T. Ł. w Krakowie prof. Janusza Domaniewskiego w Zakopanem w powiecie nowo-tarskim.

W poczet członków zostali przyjęci: z ważnością od 1. stycznia 1928. Dr. Leszek Kaliniewicz w Gródku Jagiellońskim, Dr. Edward Klein w Sofii w Bułgarji, Adam Machowski w Chodorówce powiat Brzozów, Spółka Myśliwska w Sokalu, Eustachy Świeżawski w Hołubie powiat Sokal i Towarzystwo Łowieckie w Sanoku.

Nad pismem Państwowej Rady Ochrony Przyrody względnie Komitetu organizacyjnego „Ligi ochrony przyrody“ rozwinęła się ożywiona dyskusja, której wynikiem było, iż polecono sekretarjatowi porozumieć się z Komitetem organizacyjnym co do wysokości opłacać się mającej przez M. T. Ł. rocznej wkładki, gdyż jakkolwiek wzniosłe cele takiej Ligi nie dają się zaprzeczyć i powinne być przez każdego prawdziwego myśliwego dobrze rozumiane, to z drugiej M. T. Ł. musi się liczyć ze swą możnością finansową, zwłaszcza wobec świeżej uchwały wydawania „Łowca“ dwa razy w miesiącu, co pociągnie za sobą odrazu bardzo nagły wzrost stałych wydatków.

Od Redakcji!

W 12-tym numerze „Łowca“ w artykule „O Kniei Bełzkiej“ pominięty został jako członek tego Towarzystwa p. Kazimierz Rulikowski.

Odpowiedź Redakcji:

Pan W. K. W miocie w którym są otropione dziki, pierwszy strzał może być dany tylko do dzika, o ile prowadzący polowanie nie da innego zarządzenia.

Od Administracji!

Ze względu na okazanie się od 1. stycznia 1928. „Łowca“ jako 2 tygodnika, i związane z tym wydawnictwem koszta, podwyższa się prenumeratę o 1. Zł. 50. czyli że prenumerata od 1. stycznia 1928 wynosi kwartalnie Zł. 4.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.